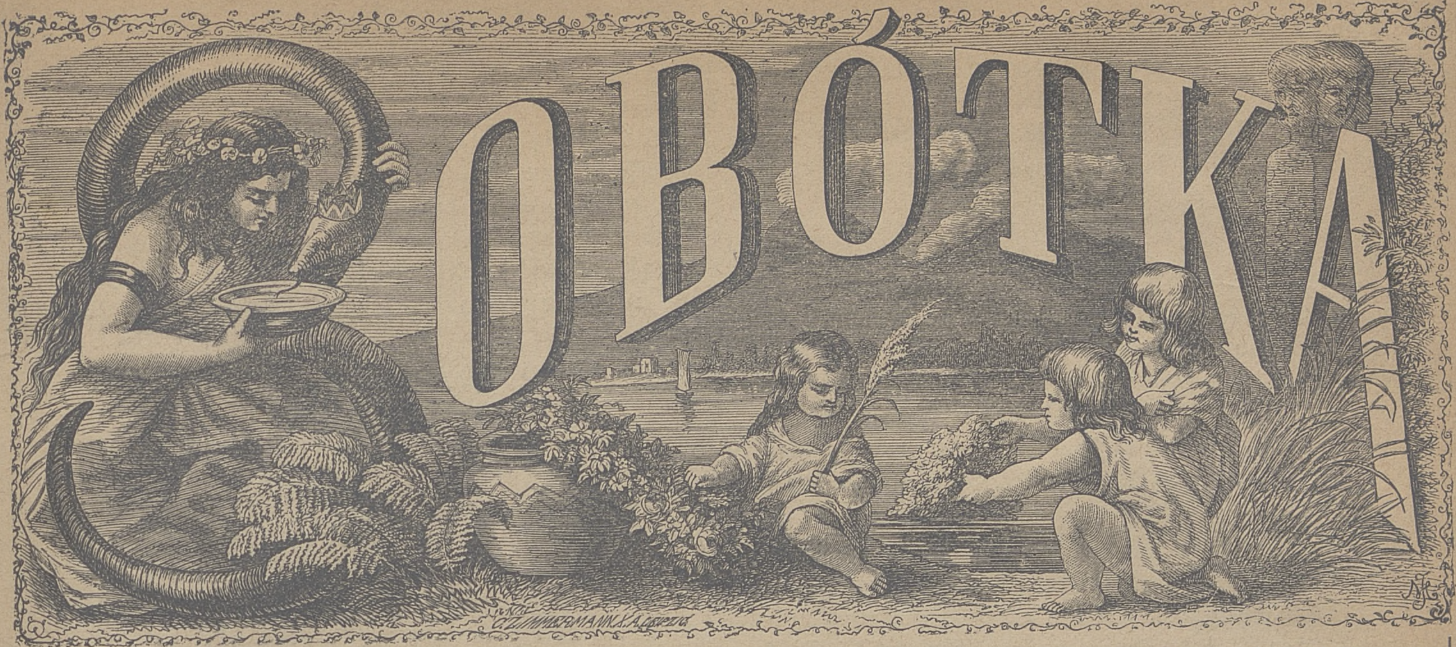


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach miesięcznych po 5 sgr.

№ 3. **Poznań, dnia 16 Stycznia 1869.** **Rok. I.**

AMERYKANIN.

Powieść z czasów Kościuszki

napisał **Wł. K. Wójcicki.**

(Dalszy ciąg.)

Panna Brygida, zajęta całą rozmową z rotmistrzem Zarembą, nic więcéj nie widziała i nie słyszała, ale Tocia z przyjaciółką dostrzegły, jak biegł żwawo Raciborski i jak wkrótce wraz z nim wyszedł Kościuszko ze swéj kwatery.

— Nie ruszajmy się z miejsca — rzekła z cicha Orlewska, widząc zarumienienie swéj towarzyszki — bo zwrócisz uwagę na siebie.

I rozpoczęła sama rozmowę z Kniaziewiczem. Tocia zadrżała dosłyszawszy szczęk pałaszy w przedpokoju, ale na surowe spojrzenie przyjaciółki spuściła oczęta, obrywając listki z róży, do boku przypiętéj.

— To nasz jenerał zapewne! rzekł Potocki.

Na te słowa wszyscy powstali. Prezes postąpił do drzwi samych, a ujmując Kościuszkę za rękę, rzekł wzruszonym mocno głosem:

— Panie jenerale! odwiedziny jego w domu mym uważam zawsze za największy dla siebie zaszczyt i pociechę, że mogę uściskać dłoń bohatera, co walczyła tak dzielnie za niepodległość Amerykanów, którego najwięksi mężowie kochali i szanowali, a ja, mój M o c i D o b r o d z i e j u, tylko z sercem otwartém i łzami radości powitać mogę.

Wyrzekłszy te słowa, pochylił głowę i otarł oczy.

Kościuszko, pomięszany, zaledwie mógł przemówić:

— Panie prezesie! nie zasłużyłem sobie na takie przyjęcie, ale umiem je ocenić i z serca dziękuję.

Powitawszy panią domu i panny, zatrzymał przeciągłe spojrzenie na Toci, która drżącą, jak listek osiczyny, schwyciła za rękę przyjaciółkę swoję i oczy w ziemię spuściła.

Gościnność przesa ożywiła całe zebrane grono. Po obniesionéj kawie gospodarz postawić kazał dwa gąsiorki opleśniałe węgrzyna. Po jednym i drugim kieliszku rozochocili się wszyscy.

Pan Żurowski zaczął przypominać dawne czasy, ów sławny w ł a z i e n k a c h k r ó l e w s k i c h karuzel przy odkryciu konnego posągu Jana Sobieskiego na moście, w którym miał udział i dobrze trzymał się na siodle. Ztąd przeszedł do pochwały Raciborskiego, że z niego dzielny jeździec, co uważa za najpierwszą zaletę młodego szlachcica.

Kniaziewicz mało się mięszał do siedzących przy stole, zajęty rozmową z panną Orlewską, jéj wdziękiem i urodą. Tocia, siedząc przy boku swéj przyjaciółki, rzucała tylko ukradkowe spojrzenia na jenerała, który, niby zajęty opowiadaniem prezesa, zwrócone miał oczy na swą ukochaną. Gdy pierwszy raz spotkały się ich spojrzenia — na oblicze dziewicy wystąpił żywy rumieniec

Prezes zatrzymał u siebie wszystkich na wieczerzy: w parę godzin ożywił jeszcze towarzystwo doktor S t a k e n s z m i t t, ochoczy do rozmowy i kielicha.

Już było blisko północy, a przez otwarte okna mieszkania prezesa brzmiał okrzyk radosny, tak znany, przy wznoszeniu ostatniego wiwatu, staropolskie: K o c h a j m y s i ę!

Jasny miesiąc wypłynął na czyste niebo — żadna je chmurka nie zaciemniała. Szczęk pałaszy krótko słychać było przed kwaterą jenerała: wkrótce światła pogasły. Milczenie zaległo całe miasto, czasem szczekanie psów z dalszych folwarków dolatywało, a przy otwartém oknie, siedziały obie przyjaciółki, trzymając się za ręce.

— Tekluniu moja złota! teraz zdaje mi się, że mnie kocha! mówiła wzruszona Tocia.

— Oby Bóg dał ci szczęście i mnie przy tobie, odrzekła Orlewska, bo miała na myśli i sercu gorące spojrzenia Kniaziewicza.

IV.

Od téj chwili stał się Kościuszko codziennym gościem w domu prezesostwa. Oboje coraz uprzejmiéj przyjmowali jenerała. Matka, uwiadomiona przez przyjaciółkę Toci o jéj uczuciach i przywiązaniu, nic nie miała przeciw związkowi zamierzonemu: nawet panna Brygida, przypuszczona do tajemnicy, pochwalała tę myśl prezesowéj.

Bo szczególniéj zmieniła się teraz: ze szczebiotliwéj i lubiącéj ploteczki stała się do razu poważną, uprzejmą, i często zadumaną. Liczyła właśnie trzydziesty rok życia, i ślady dawnéj zachowała piękności. Płeć białą zatrzymała, oblicze kraśniało żywem rumieńcem, oczy czarne, nabrały nowego blasku — słowem panna Brygida, skoro porzuciła narowy, przywiązane do staréj panny, w oczach wszystkich zmieniła się do niepoznania.

Tocia z przyjaciółką swoją, już się jéj nie wystrzegały, ale wszystkie swoje powierzyły tajemnice. Zwierzenie to przyjęła z uczuciem wdzięczności, sama jednakże poważnie milczała, jakkolwiek Orlewska już dostrzegła jéj miłość do rotmistrza Zaremby: żadném przecież słówkiem nie dała jéj tego poznać.

Dziewczęta częściéj widywały Brygidę, modlącą się gorąco przed obrazem Matki Boskiéj Częstochowskiéj, przed którym gorzała ciągle lampka. Raz zeszła ją niespodzianie panna Tekla. Klęczała przed obrazem, ale skończyła już modlitwę, i tylko z załamanemi rękoma, w milczeniu poglądała rzewnym wzrokiem w oblicze Boga Rodzicy.

Orlewska stała chwilę, wpatrując się w jéj postać, ale dłużéj nie mogąc wytrzymać, poskoczyła ku niéj i zawołała dźwięcznym głosem:

Cioциu! jakaś ty ładna!

Panna Brygida odwróciła tylko głowę i załkała cicho.

Cioциu! Brygisiu! ja znam uczucie twego serca, i z duszy się cieszę. Na te słowa panna Brygida powstała i położyła palec na usta, a potém rzuciła się w objęcia Orlewskiéj. — Teklusiu! mówiła załzawiona — Bóg tylko dotąd o tém wiedział, co ty wiesz teraz.

Cioteczko kochana, odrzekła pieszczotliwym głosem, ulżyj sercu swemu, powierz mi swoje cierpienia, ja je z Tocią podzielę, a lżéj ci będzie. O! teraz i ja będę kochała poczciwego rotmistrza. Ale nie tak, przemówiła panna Brygida, jak pana Karola.

Na te słowa Orlewska zdumiała, rumieniec żywy oblał jéj piękne oblicze, zakryła oczy rączkami i z pośpiechem uciekła.

Drżąca, wzruszona wbiegła do swego pokoju, który razem z Tocią zajmowały, a chwyciwszy ją za rękę: mojaduszo — rzekła, oddychając jakby zmęczoną piersią — ciotka odkryła i moję tajemnicę.

To dobrze, z radosnym uśmiechem odpowiedziała Tocia. Teraz żadnéj przed sobą nie będziemy miały skrytéj myśli.

Dzień był przecudny: doktór Stakenszmitt, zaprosił dom cały prezesostwa, jako też i jenerała z towarzyszami broni do siebie na kawę i śmietanę wiejską. Zastrzegł, żeby wcześnie się zebrali na podwieczorek, a obawy nie mieli, jeżeli będzie skwar słońca, bo jego ogród ze zwierzyńcem da chłód i ochronę przed gorącem.

Prezesowa z Brygidą, Tocia i Orlewska wyszły około czwartéj godziny po obiedzie: prezes podług zwyczaju drzémał i późniéj przyrzekł nadejść.

W ogrodzie doktora już znaleziono Kościuszkę z gronem znajomych oficerów.

Po przywitaniu, zawiązała się wesoła rozmowa. Doktór, jako gospodarz domu, podał rękę prezesowéj i powiódł do cienistéj altany przed domem swoim, a zwracając się do reszty towarzystwa, rzekł z uśmiechem:

— My poważniejsi będziemy sobie gawędzili o lepszych dla nas czasach, a wy młodzi używajcie spaceru.

Kościuszko uśmiechnął się, i rzekł patrząc w oczy Toci:

— To już nie do mnie słowa doktora: „młodzi niech zostaną.“ Czy mam odejść?

— O nie! nie! zawołała żywo Tocia, jenerał przecie grzeczny i nie zostawi mnie saméj.

Kościuszko z rzewném uczuciem pochwycił jéj drobne rączki i ucałował. Raciborski szepnął Rotmistrzowi Potockiemu:

— Zostawmy młodzież, a my poważniejsi chodźmy do prezesowéj.

Potocki spojrzał na kadeta i parsknął śmiechem, gdy ten poważnie wyrzekł:

— Rotmistrzu, patrz! trzy pary turkawek! Jacy szczęśliwi, to już nie dla nas.

Śmiejąc się wesoło razem, pospieszyli do altany, bawić rozmową matkę i doktora. — Kwaśniewski odjechał był od dni kilku do swojéj chorągwi.

Zwierzyniec Stakenszmitta był obszernym ogrodem, a główną jego ozdobą, były olbrzymie dęby, lipy, płaczące brzozy i gdzie niegdzie wysmukłe sosny. Zabytki to dawnego boru, które szczędził pełen smaku i gustu doktór. W pośród tych drzew zasiał trawniki, wysypał żółtym piaskiem ścieżki i urządził ławki wygodne w miejscach, najwięcéj zacienionych.

— Mój ogród zimą i latem — mawiał — zawsze zielony i nigdy nie traci swych liści.

A mówił prawdę, bo sosny pod śniegiem jeszcze zieleniły.

Rotmistrz Zaremba przechadzał się z panną Brygidą, podawszy jéj rękę. Za nim szedł w oddali Kniaziewicz z Orlewską, których radosny śmiech jedynie przerywał głęboką ciszę zwierzyńca i łączył się z miłym odgłosem kukułki, mającéj tu ulubione schronienie.

Kościuszko, siedząc na ławeczce obok swéj bogdanki, na kukanie tego ptaka przemówił:

— Słyszysz pani? to ptak wiosny, ale także smutku i żałoby. Słyszałem w moich dziecinnych latach i pieśni i powieści od mojéj niańki, że kukułka wróży żałobę.

— Jakież to myśli, panie Tadeuszu, w téj chwili, gdy tak jestem szczęśliwą i pełną radości! O! Bóg dobry od tego nas uchroni, ja wierzę w świętą jego opiekę i gorąco się modlę.

— Módl się, módl pani i za mnie, bo nie wiemy, co nas w przyszłości spotkać jeszcze może.

— Nie mów tak drogi panie, bo mi serce się ściska i łzy biegną do oczu.

Kościuszko ucałował jéj ręce, a Tocia patrzyła w jego oblicze załzawionemi oczyma.

Zaremba skończył już czwarty krzyżyk, ale nie wyglądał na swe lata, zachartowany życiem obozowém. W młodych leciech służył w przesławnéj konfederacyi Barskiéj pod Kazimierzem Pałaskim, który go nie tylko lubił, ale kochał nawet. Był z nim w Częstochowie, broniąc téj twierdzy, i wyprowadzał go za mury, gdy raz ostatni ten bohater żegnał ojczystą ziemię i spieszył do Ameryki, aby tam znaleść śmierć walecznego. —

Sierota od lat młodych, zajęty służbą unikał niewieściego rańtuszka; raz tylko zadrżało jego serce, gdy ujrzał piękną i dorodną żonę swego pułkownika. Ale wychowany w zasadach honoru i z natury pobożny przytłumił wzrastającą miłość, uważając za grzech myśl o zamężnéj niewieście. — W gwarze życia obozowego uspokoił się, przytłumił uczucie i od dwóch lat spokojnie i swobodnie oddychał, gdy w pannie Brygidzie znalazł wielkie podobieństwo do niezapomnianego oblicza i postaci pułkownikowéj. W równych była prawie z nią latach, też oczy czarne, dźwięk nawet głosu podobny.

Z początku za nadto mu się zdawała żywą, ale, gdy spoważniała w chwilach swéj zadumy, rotmistrz oczarowany spoglądał i widział żywy wizerunek swéj wymarzonéj, za którą tyle lat tęschnił i bolał. —

Nieśmiały, jak wszyscy dobrzy wojacy, do kobiet wyższego ukształcenia, bojaźliwie wyjąkał swe myśli i uczucia. — Jakby niebo otwarte ujrzał, gdy się dowiedział, że pozyskał jéj wzajemność i odebrał przyrzeczenie, że będzie mu wierną i stałą do grobu.

Kniaziewicz wiódł wesołą i głośną rozmowę z panną Teklą: śmiali się radośnie, ale w przerwach rozmawiali wymownie oczyma, bo dobrze powiedział stary Łukasz Górnicki w swoim Dworzaninie, że: „oczy, są to wierni posłańce od serca.“

Jedno drugiemu nie powiedziało słowa o miłości, a byli pewni wzajemnego uczucia.

Po podwieczorku zmrok zapadł, a prezes nie nadszedł: przysłał jednakże wkrótce starego kredencerza Walentego, przepraszając, że z powodu przybycia niespodziewanego gościa z Warszawy sam przybyć nie może, ale prosi, żeby się wszyscy wesoło bawili.

Na tę wiadomość posmutniało poważne oblicze matki, ale reszta towarzystwa wraz z gospodarzem nie stracili humoru. Potocki podał do przechadzki w zwierzyńcu rękę prezesowéj, któréj doktor i Raciborski towarzyszyli nieodstępnie. Za nimi szły trzy pary nasze.

Księżyc wypłynął na jasny lazur niebios; przy nim jedna tylko gwiazdka błyszczała. Ze zmrokiem wieczornym zawiodły swój śpiew słowiki.

Pod wielkim dębem zasiadło całe zebrane grono. —

— To moje ulubione miejsce! mówił doktor, — tu, co wieczór, gdy jestem sam, a o téj porze zwyklem samotny, siaduję i rozmyślam o swéj przeszłości. Mój Boże! czyż mogłem myśleć, że, gdy przyjdę do dostatniego mienia, Bóg mnie tak srodze osieroci! Tu mi zmarła żona, którą kochałem serdecznie, jedyny przyjaciel na téj ziemi: tu na rękach moich skonała siedemnastoletnia moja droga Ludwika!

Na to imię wstrząsnął się Kościuszko.

— Co ci to, panie? Szepnęła z cicha Tocia.

— To nic! to nic! odrzekł, ale smutno głowę opuścił na piersi!

— Tu pod tym dębem — mówił daléj doktór wzruszonym głosem — siadywaliśmy razem i jak teraz słuchaliśmy śpiewu ptasząt. Kiedym je pogrzebał i ukoił się nieco w cierpieniu, przyszedłem znowu pod ten dąb i usiadłem. Ale, gdym usłyszał moje słowiki, co śpiewały mi za życia, samotnik teraz, płakałem jak dziecko i nie dziwcie się łzom moim! (Dalszy ciąg nastąpi)

Rozmowa z gwiazdką.

Gwiazdko ma złota na niebios błękicie,
Powiedz mi, powiedz, czemu tak ponuro
Patrzysz się na mnie i czemu się chmurą
Osłaniasz cała — tajemniczo, skrycie?

Tyś dotąd zawsze tak jasno świeciła,
A gdy na niebie, twój promyczek błysnął,
To wraz z nim w duszę, zdrój pociechy trysnął —
I takem bardzo, och! szczęśliwą była!

Bo świat ten Boży tak cudny, uroczy!
Na łąk kobiercu takie ładne kwiatki,
A gdym przy sercu ukochanéj matki,
Nieraz łzy szczęścia zapełnią mi oczy.

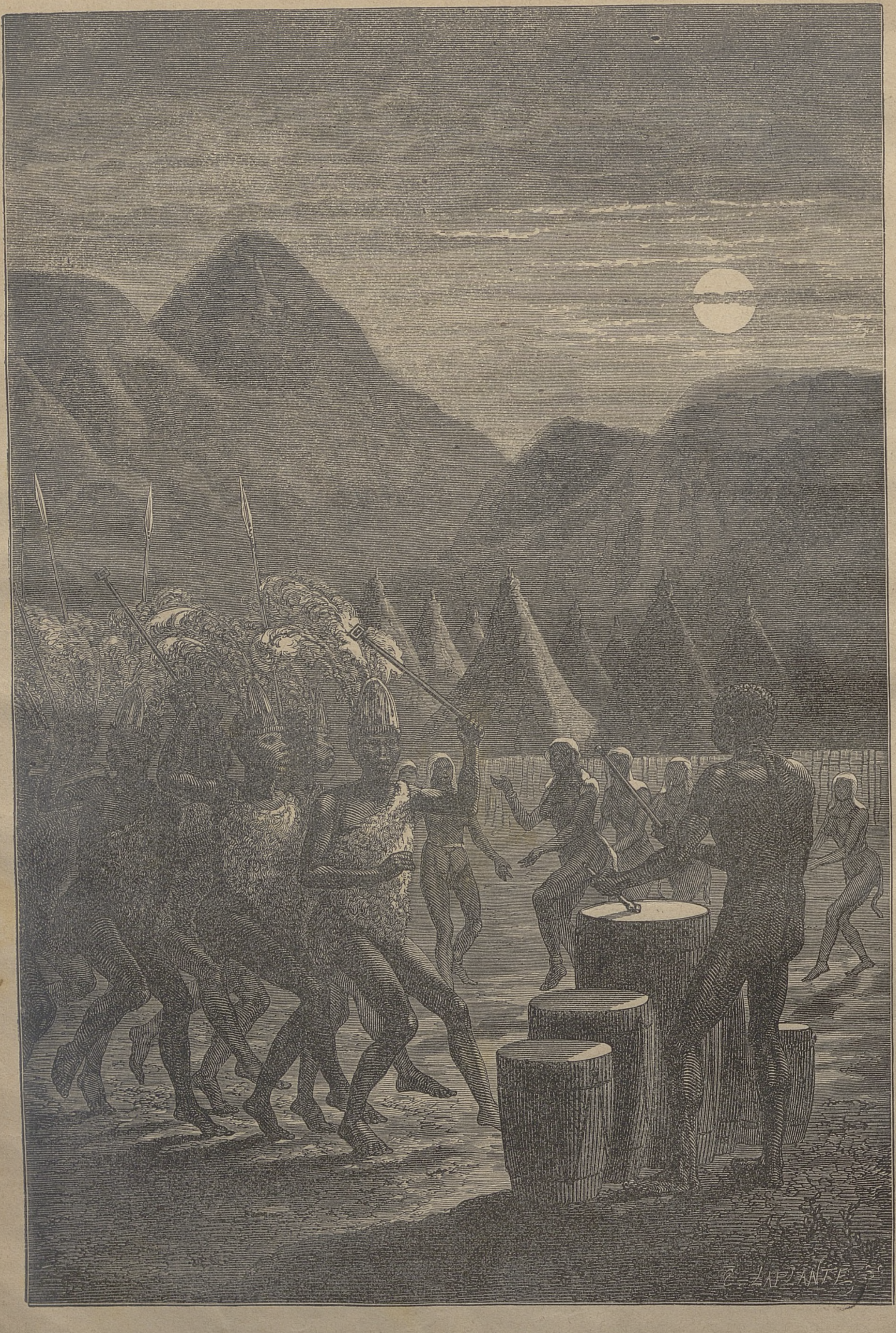
O świat ten cały, tak pełen uroku,
W ogródku słowik śpiewa na drzewinie,
Róża rozkwita, strumyk cicho płynie,
Czemu ty, gwiazdko tak smutna w obłoku? —

Dla czegom smutna? — o! nie pytaj, dziecię,
Jeszcze ci marzyć w życiu, jako we śnie
I budzić ciebie z tych marzeń zawcześnie.
W krótce ty sama obudzisz się przecie.

Dziewczę zdumiałe główkę pochyliło,
A choć nie jasno jeszcze zrozumiała,
Co jéj gwarzyła z nieba gwiazdka mała,
Przeczucie serca reszty domówiło.

Już twarz dziewczęcia radością nie płonie,
Spojrzy ku niebu, zniknął promyk złoty,
W żałości białe załamała dłonie,
Odtąd dni ciężkiéj liczyła tęsknoty.

T. R.......



Murzyńskie egzekwie.

Tajemnice Afryki.

(Z ryciną.)

I.

Afryka kryje jeszcze wiele tajemnic niezgłębionych w swém łonie i jest bogatym skarbcem dla każdego badacza natury, któryby z zapałem prawdziwego miłośnika nauki gotów był ponosić wszelkie ofiary i trudy w celu zdobycia nowych laurów na polu umiejętności i wiedzy. Do takich niezmordowanych pionierów nauki, należy także Sir Samuel White Baker (czytaj Bêker), który, chcąc ostatecznie zbadać tajemnicę źródeł Nilu, puścił się w towarzystwie odważnéj swéj małżonki w przykrą i niebezpieczną podróż w głąb Afryki.

Baker wyjechał wraz z żoną z Kairu 15 kwietnia 1861 r., i trzymając się ciągle kierunku Nilu, przebywał różne kraje i poznawał rozmaite plemiona dzikich Afryki mieszkańców. Opisom jego zawdzięczamy wiele zajmujących szczegółów.

Wszystkie prawie okolice Nilu Białego należą do źródeł, z których handel niewolników czerpie nieszczęśliwe swe ofiary. Pierwszy lepszy awanturnik zebrawszy bandę podobnych sobie urwiszów, łupi naokół wsie i osady krajowców, biorąc mieszkańców w niewolę i pokilku takich wycieczkach sprzedaje swe ofiary ajentom i kapitanom, okrętów którzy drogi ten towar rozsyłają na wszystkie strony mahometańskiego świata.

Sir Baker wyekwipował w Kartum, stolicy egipskiego Sudanu, dwa statki i mając pod swemi rozkazami jedenastu służących, czterdziestu wioślarzy i czterdziestu pięciu ludzi zbrojnych, odbywał dalszą podróż Nilem. Niebawem podróżnicy zbliżyli się do strefy, w której ludzie zapominają całkiem o pokryciu swego ciała i występują w szacie prawdziwych dzieci natury. Już plemię Nuerów chodzi zupełnie nago i obwiesza się tylko mnóstwem ozdób z pereł i kości słoniowéj. Baker zauważył szczególniéj na ręku każdego mężczyzny ogromną, kolcami najeżoną bransoletkę z żelaza i zapytał któregoś z naczelników do czego im ta ozdoba służy? Grzeczny murzyn wskazał mu za całą odpowiedź, okryte bliznami plecy drogiéj swéj małżonki.



Jasełka w Anglii.

Dziwne przywiązanie i szacunek mają te dzikie plemiona dla swego bydła i licznie hodowanych trzód Szczep Kyczów posuwa je do najwyższego stopnia, gdyż, nie chcąc krów swych zabijać na swój własny użytek, ani też sprzedawać, cierpi głóp nieustanny i choruje z wycieńczenia. Dobrowolni ci męczennicy pożerają z chciwością, co tylko w rękę im wpadnie, jak szczury, węże i jaszczurki; często nawet znalezione rozcierają kości na mąkę, ażeby z niéj wypiekać gatunek ciasta. Surowa ta dyeta odbija się też w całéj ich powierzchowności! Gdy tłum tych wynędzniałych postaci z potwornie wychudzonemi rękoma i nogami obległ Bakera, zdawało mu się, że widzi rój olbrzymich komarów. W czasie wylewu Nilu nieudolne to plemię nie umie sobie radzić o schronieniu i kupi się gromadami na kolosalnych mrowiskach, dochodzących czasem wysokości dziesięciu stóp; mrówki bowiem, przezorniejsze jak ludzie w tym kraju, wznoszą sobie umyślnie na ten czas tak wysokie mieszkania i chronią się, gdy woda wzbierać zaczyna, na najwyższe piętra swych kopców.

Porządkiem i pewną elegancyą odznacza się plemię Bari. Krajowcy ci budują sobie schludne mieszkania i otaczają je symetrycznie budynkami gospodarskiemi.

Ich kobiety noszą z przodu rodzaj malenkiego fartuszka ze skóry, haftowanego perlami lub też dzianego z drobnych ogniwek żelaznych, a z tyłu przywięzują sobie długi i suty ogon z wązkich pasków skórzanych lub szpagatu (porówn. rycinę). Szczególny gust i moda! Należałoby tym elegantkom życzyć, ażeby się tym ogonem mogły przynajmniéj [opędzać od much i komarów, które są prawdziwą plagą owego kraju.

Baker wylądował w Gondokoro i był przytomnym tryumfalnemu wjazdowi sławnych podróżników Grant'a i Speke'go, którzy, odkrywszy jedno z dwóch źródeł Nilu, z bogatym plonem naukowych zdobyczy i doświadczeń powracali do Europy. Uradowany Baker powitał ich z uniesieniem i zaczerpnął nowéj siły w ich wzroku, pełnym ognia i energii, do wykonania swego przedsięwzięcia, t. j. odkrycia drugiego źródła Nilu. Dłuższy nieco czas zatrzymał się Baker w Latukii. Kraj ten odznacza się większą zamożnością i pewną wewnętrzną organizacyą. Wysoki wzrost, ujmujący wyraz twarzy i wrodzona uprzejmość walecznych jego mieszkańców korzystne robi wrażenie. Mężczyzni piętrzą sobie dziwnie włosy, przetykając wełniaste swe kędziory grubym szpagatem, który się po niejakim czasie formalnie zrasta z włosami i tworzy na głowie rodzaj hełmu lub wysokiéj futrzanéj czapki. Najwyższy naczelnik tego ludu, Moy, zapoznał państwo Baker z pierwszą swą żoną Bekke, wcale przystojną kobietą, która się nie mogła dosyć naśmiać z Bakera, że tylko jednę ma żonę i z pani Baker, że nie ma zgolonych włosów i przetkniętéj przez dolną wargę małéj szklannéj rurki, wielkości ołówka, co jest główną ozdobą elegantek latuckich.

Ale kraina ta jest błogosławioną pod jednym względem! W Latukii liczny zastęp córek jest głównym majątkiem familii, a nie jak u nas niechybną jego ruiną, gdyż toaleta tych dam nic nie kosztuje i rodzice dostają za każdą córkę przynajmniéj dziesięć krów w zamian. Szkoda tylko, że Latukowie mają większe poszanowanie dla swych krów, jak dla małżonek!

Jednego dnia Baker usłyszał wielki zgiełk i wrzawę z którą się łączył huk bębnów i przeraźliwy odgłos trąb. Zaciekawiony wmięszał się między tłum i ujrzał dziwną uroczystość Latuków. Był to rodzaj tańca pogrzebowego, którym krajowcy oddają cześć zmarłym swym braciom. Cała ludność przywdziała oryginalny strój. Mężczyzni przyozdobili hełmiaste swe głowy mnóstwem ogromnych piór strusich — z ramion spływały im bogate lamparcie futra lub białe i czarne skóry małp, a wielkie dzwonki żelazne, przytwierdzone do pasa, uderzały ich z brzękiem po biodrach, któremi osobliwi ci tancerze za każdym podskokiem pociesznie podrygali. Wielki róg antylopy, który im sterczał u szyi, służył im do wydawania wrzaskliwych tonów, podobnych do ryku osła lub krzyku sowy. Cała ta gromada uwijała się po polu, jak niesforna zgraja opętanych, śpiewając i wyjąc chrapliwie, co wszystko razem mięszało się z ogluszającym akompaniamentem siedmiu, różnéj wielkości bębnów i tworzyło prawdziwie piekielną muzykę.

Mężczyzni z dzidami i maczugami w ręku tańczyli jakoby rodzaj dzikiéj galopady, stósując swe kroki do poruszeń, przodującego im naczelnika, który, twarzą do nich zwrócony, szalone wyprawiał skoki. Po za tém kołem wielki orszak kobiet poruszał się zwolna, płacząc i narzekając piskliwym głosem, a daléj długi łańcuch dzieci i młodych dziewczyn z głową i szyją, posmarowanemi czerwoną okrą i tłuszczem, wybijał takt nogami i wtórował uderzeniom zgiełkliwych bębnów, brzęcząc żelaznemi obręczami u nóg i mnóstwem naszyjników i przepasek ze szkła. Jakaś kobieta przebiegała nieustannie szeregi tańczących i posypywała im głowy popiołem, dobywając go z wielkiéj zasuszonéj dyni.

Obrzęd ten pogrzebowy trwał kilka tygodni ku uczczeniu pamięci znacznéj liczby wojowników, którzy krótko przed tém zginęli na polu bitwy. z.

Jasełka w Anglii.

(Objaśnienie ryciny.)

Gdyby kto zbudziwszy się w nocy, wyjrzał oknem i zobaczył przy blasku księżyca coś tak potwornego, jak widmo, które na załączonéj widzimy rycinie, zapewne nie małoby się wystraszył. Takie niespodzianki robią sobie jednak mieszkańcy Księstwa Walijskiego w Anglii w dzień Trzech Królów. Szczególne te jasełka są przywilejem młodych ludzi, którzy podobnie jak nasze żaki, obnoszące szopki w Boże narodzenie, używają wesołéj igraszki za środek napełniania groszem chudéj kieszeni. Biorą oni głowę z końskiego szkieletu i przyozdobiają nagie jéj kości kokardami i różnobarwnemi wstążkami, w jamy zaś ócz wstawiają małe latarki, sfabrykowane ze stłuczonych flaszek. Wieczorem, gdy wioskę głucha zalega cisza, kładzie jeden z parobków straszliwą larwę na głowę i owinąwszy się w długie prześcieradło, idzie kwestować od domu do domu. Trzech innych parobków, także fantastycznie przebranych, służy mu za straż honorową, któréj zadaniem jest stukać do okien, następnie pląsać w koło widma, a w końcu zabierać łaskawe datki od widzów. Wesoła pieśń, odśpiewana chórem przy współudziale straszydła, kończy zazwyczaj cały figiel, który szczególniéj dzieciom się podoba. Jaki jego początek i jakie miał on pierwotnie znaczenie, trudnoby dziś było dociec, tém bardziéj, że w ostatnich czasach zwyczaj owych jasełek coraz bardziéj idzie w zapomnienie.

Sobotnia pogadanka.

Tegoroczny karnawał dostał badzo chudy etat w kalendarzowym budżecie. Swywolnik ów jednakże nie spieszy się z rozpoczęciem mięsopustnéj pohulanki, choć już w pierwszych dniach lutego — czycha nań posępny Popielec z urną symbolicznego prochu i wielkopostném kazaniem.

U nas w Poznaniu przynajmniéj nie zdobył się on jeszcze na żadną publiczną zabawę. — Ochoty możeby mu nie brakło, lecz biedak musi rad nierad pokutować za grzechy swego przeszłorocznego braciszka, który, mając i czasu i zabaw pod dostatkiem, skaprysił niegrzecznie i kwakierską osowiałością dostojnych swych patronów wielce na siebie pogniewał. Na cóż wyprawiać bale i wieczorki? na cóż sprowadzać muzykę, woskować posadzkę i oświecać pająki? — zawołała dyrekcya Koła Towarzyskiego — kiedy na zabawę albo nikt, albo też tyle tylko przyjdzie publiczności, że potém taborem z krzeseł i kanapek trzeba co prędzéj zmniejszać o połowę arenę taneczną, bo inaczéj towarzystwo pogubiłoby się w przestronnéj sali Poznań nie chce się bawić, więc skasujmy bale i baliki. Niechaj poważne miasto drzemie sobie odtąd spokojnie w ciszy monotonnego żywota.

Ustawiczne zawody w ostatniéj zimie tak rzeczywiście wszystkich zniechęciły, że już na seryo myślano o całkowitém zniesieniu u nas publicznych balów. Tymczasem w ciągu roku ostygły umysły. Widok tylu gwiazdek, które powschodziły wśród lata na niebie poznańskiém oraz świeżego zastępu młodzieży, przypomniał, że zamierzona sekularyzacya karnawału byłaby pokrzywdzeniem nowego pokolenia, które niezaprzeczenie ma samodzielne prawo wykonania równéj summy polek i mazurów, co poprzednicy na wielkiéj sali Bazaru. Po dawnemu więc zebrał się w początkach adwentu areopag Koła, ażeby ułożyć plan karnawałowéj kampanii. Świeżo zebrane doświadczenia nauczyły go, że system staczania licznych a drobnych potyczek partyzanckich jest niepraktycznym. Wykreślono zatém nasamprzód z programu wszystkie „kolacye z damami i tańcami" oraz „wieczorki," którémi dotychczas zwykle zagajano zapustne zabawy. Pierwsze chybiały celu dla tego, że panie, przyszedłszy na salę w balowém usposobieniu, nie lubią przez kilka godzin siedzieć nieruchome przy stole, gdzie przypadek może je często mniéj pożądaném obdarzyć sąsiedztwem i gdzie toaleta wpierw traci świeżość, zanim przy tańcu w całym błyśnie blasku. Wieczorki zaś, charakteryzujące się czarną krawatą u mężczyzn, skromniejszemi strojami i mniejszą okazałością w zewnętrznéem urządzeniu, natomiast większą swobodą towarzyską, mają dla znacznéj części publiczności zbyt mało uroku. Najwięcéj szkodzi im podobno sama nazwa, która zanadto brzmi niepretensyonalnie. Ręczę, choćby na wieczorkach podwojono kapelę i liczbę gospodarzy i w ogóle rozwinięto cały przepych balowy, nie udawałyby się one lepiéj od dotychczasowych. Wieczorek bowiem gasłby zawsze obok balu tak, jak król gaśnie obok cesarza, choć obaj równą dzierżą władzę. Tańczyć dużo „na wieczorku" a mieć powodzenie „na balu" byłoby i nadal w oczach płci pięknéj czémś tak specyficznie różném, jak zwycięztwo w utarczce odmienném jest od wygrania wielkiéj bitwy. Ponieważ zaś, mając między dobrém a lepszém do wyboru, każdy woli ostatniemu dawać pierwszeństwo i iść z tam, gdzie świetniejsze może zebrać laury, nie dziw, że publiczność nie odwiedza drugorzędnych uroczystości Terpsychory, ale chowa się raczéj na wielkie, olympijskie igrzyska balów.

Z tych to powodów dyrekcya Koła uchwaliła same tylko bale postawić w tegorocznym programie zabaw. Lecz jeszcze dwa ważne pytania nasunęły się jéj przy obradach tj. ile balów i w jakim czasie je zapowiedzieć? Tu przydały się wielce wskazówki statystyki karnawałowéj, która uczy, że familie polskie w Poznaniu zwykły w przecięciu na dwie tylko zabawy publiczne uczęszczać i przytém względem pierwszych choreograficznych zebrań zachowywać une réserve plaine de distinction. Zapoznanie dwóch tych arcyważnych faktów było główną przyczyną zeszłorocznych niepowodzeń. Tą razą nauczono się lepiéj rachować z okolicznościami i z gustem publiczności Powiedziano sobie: na dwa bale idzie każdy z ochotą a więc dwa też tylko urządzimy, ponieważ zaś wszyscy chowają się radzi na koniec karnawału, przeto odłożym zabawy te na ostatki. W ten sposób nie będzie wyboru i nieliczne towarzystwo miejskie nie będzie się mogło rozstrzelić, ani też pierwszego balu według zwyczaju swego ignorować.— Zasada: Omne trinum perfectum i stara tradycya, nakazująca ostatnią mięsopustną niedzielę wyzyskiwać na cele dobroczynne, dodały do dwóch tych balów jeszcze trzeci, składkowy bal, który, mając zapewniony współudział zjeżdżającego się pod ten czas do Poznania obywatelstwa wiejskiego, musi się także udać.

Po za temi oficyalnemi uroczystościami wolno się naturalnie bawić prywatnie usque ad infinitum.

O herbatach tańcujących i wieczorkach mało jednakże dotychczas słychać. Cały ruch karnawałowy ogranicza się na tém, że kilka rodzin z prowincyi, przebywających czasowo w mieście, prowadzi dom otwarty, lecz peryodyczne te schadzki nie bardzo są ożywione, ponieważ młodzież złota jeszcze się nie zjechała. Miejska haute volée nie daje wcale znaku życia. Wszystkie tradycyjne wieczorki, które innemi laty dawały hasło do powszechnéj zabawy, tego roku chybiły. Że jednakże w danym razie nie brakłoby młodzieży obojga płci do tańca, świadczy kulig, który się w przeddzień Trzech Królów cichaczem zebrał i w braku sanny na kołach ze śpiewem i muzyką wpadł do jednéj wili za miastem. Ładny podobno był widok, gdy aż dwadzieścia par w maskach i najrozmaitszych strojach stanęło do mazura. Fantastyczne przebranie, raźna muzyka, a nadewszystko złota, staropolska gościnność dodały tak wszystkim ducha, że całą noc przetańczono. Dniejący ranek i ludzie, idący na wczesną mszę do kościołów, patrzyli z zadziwieniem na wracających do domów Krakowiaków i Hiszpanów, którym Morfeusz wówczas najmilszym z niebian się wydawał.

XX.

Towarzystwo pożyczkowe i lichwa.

I.

Zniesienie tak zwanego „prawa lichwy" w całym północno-niemieckim Związku, zniweczyło ostatnią zaporę powstrzymującą chciwych lichwiarzy i wywołało tem większą potrzebę banków i zakładów pożyczkowych mianowicie dla rękodzielników i przemysłowców. Potrzebnemi i użytecznemi były zakłady pożyczkowe od czasu, w którym przemysł, zużywając wynalazki nowszych czasów i machiny, różne rzemiosła rozpoczął w sposób fabryczny prowadzić, a ku temu praca sama nie wystarczała. Wtedy rzemieślnik, którego jedynym kapitałem była praca, zapotrzebował (obok kapitału jaki ona stanowi) jeszcze kapitału gotówkowego. Praca umiejętna w połączeniu z gotówką odpowiedniejszy dała zysk — wybitniejszym, donośniejszym był owoc téj pracy. Gotówkę zaś należało stworzyć za pomocą kredytu, pożyczki i ztąd wynikła potrzeba, a okazała się użyteczność zakładów pożyczkowych. Dzisiaj zaś, po zniesieniu „praw lichwy", gdy ustawy krajowe piętno lichwiarza zmyły z czoła tych upiorów, ssących dochody pracowitego rzemieślnika, gdy pieniądze można sprzedawać podobnym sposobem, jak jak każdy inny towar, po dowolnéj cenie, a brudny lichwiarz został kupcem pieniędzy, który za zbyt wygórowane procenta nie pójdzie do kryminału, jak przedtém, od tego czasu zakłady pożyczkowe stały się koniecznością, kwestyą żywotną, mianowicie dla rzemieślnika i włościan. Przedewszystkiém będziemy się starali okazać konieczność jak najliczniejszych towarzystw pożyczkowych. bo z ich pomocą zapobiegnie się najskuteczniéj lichwie. (C.d.nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Wizyta nieboszczyka.

Pewien bogaty obywatel w Paryżu oczekiwał z niecierpliwością przybycia pożądanego gościa, który, chociaż mu jeszcze nieznany, miał, jako syn dawnego przyjaciela, uzyskać rękę ukochanéj córki. Ale godzina oznaczona minęła, a spodziewany konkurent nie przyjechał; dopiero w parę godzin późniéj służący oznajmił z pospiechem, że młody pan przybył i chce złożyć swe uszanowanie. Ucieszony gospodarz domu pobiegł na jego powitanie i nie dając mu przyjść do słowa, wprowadził natychmiast do salonu, gdzie żona i córka przyjęły go z nietajoną radością.

Młodzieniec oddał powierzone sobie przez ojca listy i od razu ujął sobie wszystkich swą dorodną postawą, miłém obejściem i dowcipną rozmową. Już to szczególnéj umiał się podobać pięknéj jedynaczce, która z wzrastającém zajęciem spoglądała z boku na swego towarzysza przy stole, rumieniąc się, ile razy do niéj zwracał mowę. Po obiedzie, kiedy szczęśliwa rodzina z zupełném już zaufaniem spoglądała na nowo przybyłego gościa, rozmowa skierowała się na dawne familijne układy i zaczęto radzić o warunkach projektowanego małżeństwa.

Naraz młody konkurent powstał, zabierając się do wyjścia. „Gdzież pan idziesz? — zawołał gospodarz domu — wszakże nie znasz nikogo w Paryżu! Jeżeli masz jaki interes, pozwól, że ci'go który z moich bratanków załatwi.“ „Dziękuję“ odparł gość —„Jeżeli chodzi o pieniądze“ — rzekł gospodarz — rozporządzaj pan memi, lub téż pozwól mi posłać zaufaną osobę do swego bankiera, tylko nie pozbawiaj nas swego towarzystwa!“ Ale młodzieniec nie dał się zatrzymać, a wyszedłszy do przedpokoju, rzekł swemu gospodarzowi na ucho: „Teraz, kiedyśmy sami, muszę panu powiedzieć że tego rana wkrótce po mojém przybyciu do Paryża, wydarzył mi się smutny przypadek. Zostałem tknięty apopleksyą i umarłem.“ „Ha, ha, ha, cóż panu za figle przychodzą do głowy?“ „Ależ nie figle, zaręczam panu, że mówię zupełnie na seryo. Umarłem a o szóstéj wieczorem będzie mój pogrzeb.“

„Tere fere kuku! Może pan pozwolisz sobie oddać ostatnią przysługę?“ „Owszém, będzie mi bardzo miło.“

Wśród śmiechow rozeszli się obaj — nasz nieboszczyk poszedł na miasto, a kupiec pobiegł co prędzéj do pokoju, by żonie i córce opowiedzieć osobliwą fantazyą gościa. Myślano, że niezadługo przyjdzie pomódz im się śmiać z tego figla. Tymczasem szósta minęła — zegar wskazywał siódmą, a gość nie powracał. O ósméj zaniepokojony pan domu posłał służącego do hotelu, w którym stał przyszły jego zięć, i proszę sobie wystawić jego przerażenie, gdy posłaniec rzeczywiście tę dziwną przyniósł mu wiadomość, że pan wspomnianego nazwiska przybył do hotelu o dziewiątéj, umarł o jednastéj, a o szóstéj został pochowany. Oczywiście więc miły gość poranny był tylko widmem zmarłego młodzieńca, który po śmierci nawet chciał być wiernym życzeniom i układom zaprzyjaźnionych rodzin.

Tymczasem na uspokojenie pięknych czytelniczek, któraby gotowe z przestrachem spoglądać na każdego dorodnego młodzieńca, nie dowierzając, czy im nie zniknie jak mara, dodajmy że rzecz się miała inaczéj. Oczekiwany konkurent umarł w hotelu rzeczywiście, ale téż pozostał na miejscu aż do swego pogrzebu. Odwiedziny zaś odbył za niego młody jego przyjaciel, który przyjechał z nim razem i był zupełnie w jego stósunki wtajemniczony. Młodzieniec ten poszedł do oczekującéj gościa rodziny, z zamiarem uwiadomienia jéj o nagléj śmierci swego towarzysza, ale od razu przyjęty i zaanonsowany jako kunkurent, nie miał z początku czasu, a potém ani chęci występować z całą prawdą. Pomimo szczerego smutku obudziła się w nim wrodzona chętka zabawienia się i zmistyfikowania drugich. Grał zatém daléj mimowolnie rozpoczętą komedyę, co mu się téż wybornie udało. Był to bowiem znany z wesołego usposobienia i różnych psot i figli, późniejszy jenerał francuski Saint-André. Całe zaś zdarzenie miało miejsce w połowie przeszłego wieku, pod koniec panowania Ludwika XV

z.

Zła rachuba.

W jedném z miast naszéj dawnéj Rzeczypospolitéj skarżył się raz ks. Prefekt ks. Definitorowi, że młodzież szkólna zamiast modlić się na ranném nabożeństwie, gapi się tylko na ładne twarzyczki córek Ewy, które chodziły słuchać mszy w tym samym kościele Nie trudna na to rada, rzekł obfity w koncepta Pater. Przylep na drzwiach kościelnych karteczkę z prośbą, ażeby wszystkie panie, które mniemają, iż powierzchownością swą mogą chłopakom robić dystrakcyą w modlitwie, przychodziły w gęstych woalach do kościoła. Ręczę ci, że każda, nie chcąc sobie wystawiać świadectwa brzydoty, przyjdzie zakwefiona. — Ks. prefekt usłuchał dowcipnéj rady i zręcznie zredagowaną odezwę do dam wywiesił w kruchcie kościoła. Wrażenie zrobiła ona wielkie w kołach damskich, lecz jakiż miała skutek? Oto wszystkie stare dewotki przyszły nazajutrz z czarnemi zasłonami u kapelusz, ładne zaś i świeże twarze pokazały się, jak dawniéj bez zasłon.

e.

Zdania moralne.

Trafi na rzeźnika, kto się staje owcą.

Nie zwierzaj się, a każdy ci tajemnicy dotrzyma.

Szarada.

Pierwsze u wszystkich kupców się znachodzi,
Drugie łąkom wielce szkodzi,
Wszystko płazowi wyrosłszy na grzbiebie,
Często zdobi włos kobiecie.

(Rozwiązanie szarady w nr. 2. ***Figi — elki.***)

Wiadomość o nowych książkach.

Bełza, Wł. Powieści liryczne. 8o. 24 str. Warszawa. $7^1/_2$ sgr.

Goralczyk (Wł. Anczyc). Abecadlnik z historyi polskiéj. Wydanie trzecie poprawne i powiększone. 16o. 96 str. i 24 pięknych rycin. Wydanie z czarnemi rycinami 25 sgr. z kolorowemi 1 tal. 10 sgr. Dla dzieci polskich, któreby zaraz od pierwszéj młodości nauczyły się myśleć o świetnéj przeszłości kraju — elementarz ten gorąco polecić należy.

Jackowski. Nauka stenografii polskiéj, wedle systemu Gabelsberga. Lwów 2 tal. 15 sgr.

Naukę stenografii polskiéj, wydali w ostatnich latach: M. Suchecki, Poliński, nadto rozpoczęto we Lwowie wydawnictwo czasopisma: „Wiadomość z dziedziny stenografii, kaligrafii i typografii“ miesięcznie zeszyt — prenumerata półroczna 1 Tal. 5 sgr.

Podręcznik leśnictwa, ułożony staraniem centralnego towarzystwa rólniczego. Poznań. 1 tal.

Książka ta, przeznaczona nie tyle dla leśników, co raczéj dla właścicieli tak większych, jak mniejszych obszarów leśnych, zawiera główne zasady gospodarstwa leśnego, najnowsze badania względem ochrony lasów, doświadczenia co do hodowli drzewostanu, zastósowane do potrzeb naszéj ziemi.

Księgarnia **M. Leitgebra.**

PUSZKA DO LISTÓW.

Panu Józefowi Thom. Dobrześ pan zgadł, lecz wierszowanego rozwiązania pierwszéj zagadki nie możemy umieścić. Panu Wł. B. w Krakowie. Dziękujemy za życzliwość. Kroniki z Warszawy i Lwowa będą umieszczone, jak się Pan z bliższych numerów przekonać zechcesz. X. R. w O. Nie można. X. proboszczowi Jańczakowskiemu i Panu M. w Jar. O brakujące numera proszę się zgłosić do urzędu pocztowego, który przyjął prenumeratę; tenże jest odpowiedzialnym za regularne dostarczania. — Sobótka regularnie wychodzi w sobotę i zostaje oddana tutejszéj ekspedycyi gazet na poczcie, tak, że już w niedzielę każdy abonent na prowincyi może „Sobótki“ zażądać. Panu Czarlińskiemu w Z. Przekazaliśmy poczcie. Panu Dzwonimirowi w Poznaniu: Przyda się może na Popielec. Prosimy o adres. — Dr. Wład. Ł. w T.: Szkoda, że nasz „budoarzyk“ tak ciasny. Brytan stę w nim nie zmieści, a pokrajać się téż nie da. Panu E. M. we Lwowie: Przyda się może późniéj.

Redaktor odpowiedz.: M. Leitgeber w Poznaniu.—Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu. — Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.